

JAN SKŁODOWSKI

Z Marią i Stefanem Chałubińskimi w Tatrach

Znane osobistości, o których wspominają encyklopedie i którym wystawiono pomniki, zdają się jedynymi przedstawicielami swego rodu. Aż nie do wiary, gdy słyszymy o kimś, że to przecież syn czy wnuk owej spiżowej postaci i że jest możliwość bezpośredniego poznania się z nim. A on sam okaże się przystępny i otwarty, w żadnym wypadku nieemanujący wyżyną cokołu swego sławnego przodka.

1.

Podobnie jest i z Tytusem Chałubińskim, o którego zasługach jako odkrywcy Zakopanego i dźwigającego koronę niekwestionowanego Króla Tatr wiedziałem OD POCZĄTKU swego świadomego pielgrzymowania do Tatr. Ale wiedziałem też, że bywał tam KIEDYS, a moje w nich TERAZ oddzielało od tego czasu mniej więcej stulecie. Nie przypuszczałem tedy, że w Zakopanem może mieszkać jego wnuk Stefan – znakomity tatrzański przewodnik, taternik i instruktor narciarstwa – z żoną Marią, także taterniczką; oboje tak bliscy MOJEMU praktykowaniu w tych najpiękniejszych górach świata i ich postrzeganiu. A droga do poznania Marii i Stefana Chałubińskich istniała, tyle że nie od razu się o tym dowiedziałem.

Zakopane nie było mi bowiem zupełnie obce, wiele ścieżek miałem już tam przedeptanych. A to dzięki temu, że UMIEJĘTNIE wprowadzała

mnie w tę miejscowość moja ciotka Zofia Fedorowiczowa, mieszkająca tam w willi Jagienka, w moim pojęciu od niepamiętnych czasów (faktycznie od 1926 r.), i doskonale pamiętająca TAMTO Zakopane. Pewnego razu zagadnęła:

Dobrze by było, gdybyś poznał państwa Chałubińskich, Stefana i Marię, ludzi niezwykle miłych i gościnnych. On – „obywatel” Zakopanego i Tatr prawie od urodzenia, ona – poznanianka, germanistka i przyrodniczka, i podobnie jak jej mąż taterniczka oraz znawczyni tatrzańskich szlaków. Sama dawno ich nie odwiedzałam, ale nawet dziś zatelefonuję i zapytam, czy zechcą ciebie przyjąć u siebie w moim zastępstwie, a nawet może i następstwie, bo coraz trudniej mi wychodzić z domu na dłuższe spacerunki. Zaprzyjaźniłeś się z Tatrami, a także z góralami na halach, gdy jeszcze trwał na nich wypas – teraz pora na znanych zakopiańczyków.

Jak rzekła, tak zrobiła i oto już w dniu następnym wybrałam się na spotkanie z wnukiem wielkiego Tytusa i jego żoną. Była to wiosna przygnębiającego, pierwszego stanowojennego, 1982 r.

2.

Miejsce było mi oczywiście znane – przy ul. Chałubińskiego. Bo gdzieżby indziej? Choć adres administracyjny to ul. Zamoyskiego 33 – wyznaczony u zbiegu tych ulic przez pomnik Tytusa z Sabałą, zbrojnym w gęśle (z zawsze odłamany smyczkiem). A wśród drzew parku – Lasu Chałubińskich – ukryty był niewielki drewniany domek (w zasadzie domeczek), chyba najmniejszy w całym Zakopanem, za to, o czym się niebawem przekonałem, prezentujący najwyższej próby ISTOTNY zakopiański klimat. Takiej też próby była herbata, którą Gospodyni podała w pokoiku na pięterku. Do dziś pamiętam jej wyborny smak, który zespałał się z atmosferą ich szczerą gościnności, podczas gdy klimat bezpretensjonalnie urządzonego w drewnie wnętrza, z książkami ułożonymi na prostych, także drewnianych półkach, skutecznie zapobiegał sztywności pierwszej wizyty. Takie wrażenie to jednak przede wszystkim efekt emanującego z postawy Gospodarzy – nie tylko intelektualnego, ale również, co najistotniejsze, duchowego – zespolenia z Tatrami jako dziełem Stwórcy, którego obecność w tych górach była opoką filozofii życia Chałubińskich.

Pierwsze spotkanie, choć planowane jako niezbyt długie, bo kurtuazyjno-zapoznawcze, przeciągnęło się nieco. Rozmawialiśmy o sprawach codziennych i niewesołych spostrzeżeniach związanych z aktualną wówczas sytuacją w kraju, ale też o samym Zakopanem oraz planach wspólnych tatrzańskich wypraw (gdym dowiedzieli się, że mam za sobą Gerlach czy Lodowy Szczyt), co poczytywałem sobie za wielki zaszczyt. Znaczna różnica wieku w najmniejszym stopniu nie tworzyła między nami dystansu, a rozmowa biegła swobodnie w klimacie naturalnej bezpośredniości, jak gdybyśmy się znali już od bardzo dawna. Stałe odczuwałem ze strony Gospodarzy ich naturalną otwartość i prawdziwą życzliwość wobec młodszego o prawie dwa pokolenia rozmówcy. Przed pożegnaniem Stefan Chałubiński oprowadził mnie po malowniczych zakątkach otaczającej domek parceli, wskazał miejsce, na którym wznosił się dom rodzinny Doktora, oraz to, na którym znajdowały się jego „kuchnie”. Wspomniat też o jego tłumnych tatrzańskich wyprawach z góralską muzyką i nocowaniem przy ogniu pod rozgwieżdżonym niebem – na moją zaś wzmiankę o ich opisach zamieszczonych przez Jalu Kurka w *Księżde Tatr* skonkludował je wymownie (wobec pokazania przez autora jakoby wyzyskiwanego w ten sposób przez „panów” góralskiego ludu) w następujący sposób: „Každy, jako umie, siurka ze swojego Jalu Kurka”. Zapamiętałem tę zręcznie zakamuflowaną w dwuznaczności jednoznaczność wyrażoną awangardowo, bo w ocenie pisarza krakowskiej przecież... Awangardy.

3.

Zaplanowanych górskich wycieczek nie mogliśmy mimo wszystko odbyć szybko. Na przeszkodzie stały obostrzenia obowiązujące wciąż stanu wojennego, choćby wymóg posiadania specjalnej przepustki do poruszania się w Tatrach poza strefą schronisk, więc poza górną granicą regli. Gdy na Krupówkach przy gmachu poczty spotkałem Stefana Chałubińskiego, nasza krótka rozmowa zeszła na to, co nas wszystkich w zaistniałej sytuacji w OGÓLE czeka. A ponadto wobec konstatacji, że Jaruzelski jest bezdyskusyjnie narzędziem Moskwy i rzeczywistość nasza rysuje się niewesoło, rozmowa o planach wspólnego wyjścia w góry

zeszła na dalszy, choć w żadnym razie nieodkładany do „greckiego kalendarza” plan.

4.

Od tego spotkania minęły cztery lata i właśnie wtedy, gdy byłem na krótkim rodzinnym spacerze w rejonie Toporowych Stawów, wyłonił się spośród smreków Stefan Chałubiński, powracający z Koszystej. Samotnie przeszedł, poczynając od Krzyżnego, jej długi grzbiet. Wyraził żal, że nie wybraliśmy się tam wspólnie, i zaraz ponowił uprzednie zaproszenie do odbycia czegoś równie, albo jeszcze bardziej, „honorowego”. Ustaliliśmy cel – Niżnie Rysy. Także datę – najbliższą, z potwierdzeniem przez zakopiańskich przepowiadaczy, że pogodą „wytrzymie”. I w końcu godzinę wyruszenia z Zakopanego – piątą rano.

5.

Wyjście na Niżnie Rysy przypadło tedy na 29 lipca (był to rok 1986), bo na ten dzień właśnie miejscowi dobrotliwi planetnicy „zamówili” sprzyjającą takiej eskapadzie aurę. Zgodnie więc z umową zjawiłem się ze swoim pojazdem, którym sprawnie dotarliśmy (Maria i Stefan Chałubińscy wraz ze mną) na parking na Palenicy Białczańskiej. A stamtąd czekał nas żwawy, prawie dwugodzinny marsz ku Morskiemu Oku, bądź to samą szosą, bądź bocznymi ścieżkami ścinającymi jej serpentyny. Pogoda była wyśmienita, bezwietrzna, nad nami nieskazitelnym błękit, rosnący intensywnością w umykającym świtanie rzeńskiego poranka. Drogę urozmaicaliśmy rozmową, przy czym cały czas towarzyszyły nam rozległe spojrzenia, wpierw na Dolinę Białej Wody oraz Dolinę Rybiego Potoku, a niebawem już tylko na szczyty górujące nad obiema stronami tej drugiej. Widoki te zainspirowały nas do wymiany myśli na temat przedstawiania gór w obrazie malarskim i fotograficznym, sprawiającym zwykle wrażenie „uniesienia” punktu ich artystycznego widzenia znacznie powyżej poziomu oczu stojącego u ich podnóża obserwatora – malarza lub fotografa. A temat był mi bliski tym bardziej, że właśnie wtedy składałem do wydawnictwa swój albumik



Stefan Chałubiński (po prawej) i Jan Skłodowski na Niżnich Rysach, 29.07.1986 r. (fot. Maria Chałubińska)

zatytułowany *Tatry i Podhale w drzeworycie*, reprodukujący w dużej liczbie górskie widoki.

Niepostrzeżenie stanęliśmy przy (jeszcze zamkniętym o tak rannej porze) schronisku nad Morskim Okiem. Jezioro mrugało filuternie pobłyskami promieni słonecznych odbijanych na lekkich falach. Tam to przez chwilę popasaliśmy dla odpoczynku i posilenia się przed dalszym marszem. Okazało się, że dotychczasową trasę przebyliśmy w tempie nieco szybszym od „przewodnikowego” – nabrałem dzięki temu przekonania, że i dalsza część wycieczki przebiegnie równie sprawnie (co się później potwierdziło). Stefan Chałubiński był przecież ode mnie, wtedy 36-latka, ponad dwukrotnie starszy. Ruszyliśmy brzegiem jeziora w stronę ścieżki wiodącej ku Czarnemu Stawowi. Wędrowaliśmy nią dalej, wznosząc się nieco mozolnie w kierunku Kotła pod Rysami. Stefan Chałubiński co pewien czas detalicznie objaśniał nazwy górujących nad nami szczytów i szczyków w grani biegnącej na północ od Rysów. Zauważyłem jednak, że choć tempo naszego marszu nieco osłabło, był on nadal bardzo równomierny i tym samym skuteczny w zdobywaniu

wysokości. Prowadził Stefan Chałubiński i właśnie w jego sposobie poruszania się tkwiła tajemnica tej skuteczności. Wysoki, szczupły, długonogi, w rzeczy samej wysmukły, nieco (ale tylko nieco) przygarbiony, w ruchach nóg i rąk i całej swej sylwetce jakby „pająkowaty”, stawiał kroki duże, lecz sprawiające wrażenie powolnych, jak gdyby zbytnio nawet, by zapewnić odpowiednie tempo marszu. Niemniej były to kroki nadzwyczaj wyważone, nigdy chybione czy wymagające skorygowania ani też powodujące mimowolne, niezamierzone cofnięcie się. Z ruchu nóg i niekiedy rąk wędrowca, gdy można było wykorzystać dłoń do wsparcia się o pobliską wantę, biła nie tylko rutyna wieloletniego wędrowania po Tatrach, ale również intuicyjne wyczucie bieżącej, zmieniającej się dosłownie przy każdym stąpieniu, sytuacji na szlaku czy w miejscach, gdy trzeba było już samemu go wyszukiwać. Tak właśnie zaczynało się dzieło w pobliżu początku grzędy Rysów, gdy przed nią skręciliśmy ze ścieżki w lewo, na zasłane piargiem zbocze, będące górną częścią Kotła pod Rysami. W pewnym miejscu, mimo letniej pory, pokrywał je dość szeroki płat śniegu. Tam, gdzie zbocze było bardziej nachylone, należało je przebyć z wielką ostrożnością. Stefan Chałubiński przestrzegł, jak przystało na wytrawnego i odpowiedzialnego przewodnika, by przy przekraczaniu śnieżnego pola zachować możliwie pionową postawę, jako że intuicyjne pochylenie się ku zboczowi tylko ułatwiłoby osunięcie się. Dla większego bezpieczeństwa polecił również wziąć w dłonie, co i sam uczynił, niewielkie podłużne, ale ze spiczastym końcem odłamki skalne, by w razie upadku móc wbić je w śnieg i zapobiec ześlizgnięciu się czy groźnemu „zjazdowi” na położone niżej skały.

Po przebyciu tego niezbyt przyjemnego odcinka ruszyliśmy ku rozległemu, wypełnionemu piargiem żlebowi biegnącemu spod szczytu Niżnich Rysów, by nim dotrzeć do przełączki w grani, a z niej, już samą granią, na główny wierzchołek góry. Tam przypomniał nam sobie pierwszych znanych – sprzed ponad 80 lat – zdobywców szczytu (Janusza Chmielowskiego i Adama Kroebła, których wiódł Klimek Bachledda), ale też to, że przebyty przez nas szlak był wyznakowany już w 1908 r. kolorem niebieskim przez Towarzystwo Tatrzańskie. Na dłużej uwagę naszą przykuła piękna i niezwykle prezentująca się z tego miejsca panorama Tatr Wysokich, a zwłaszcza widok bliskiego na wyciągnięcie

ręki Ganku i jego Galerii, wieńczącej 300-metrową ścianę-krzesanicę, fantastycznie urzeźbioną niemal pionowymi skalnymi rynkami. Maria Chałubińska utrwaliła na kliszy fotograficznej ten widok, jak też dwóch pozostałych uczestników wyprawy na jego tle.

Droga powrotna stanowiła bezproblemowe powtórzenie tej przebytej wcześniej ku górze. Zaś podczas pożegnania w Zakopanem padła zgodna propozycja odbycia kolejnej wycieczki w rejonie Morskiego Oka – z nieśmiałym spojrzeniem ku Mięguszowieckiemu Szczytowi. Niebawem też zakończyłem tegoroczne zakopiańskie wakacje uniwersyteckiego belfra powrotem do Warszawy.

6.

Wspomnienie udanego wyjścia na Niżnie Rysy, ale też oczekiwanie na kolejną wycieczkę znalazły się niebawem w naszej wzajemnej korespondencji. W odpowiedzi na moją kartę ze słowami podziękii za pięknie spędzony prawdziwie górski dzień i tak miłą kompanię otrzymałem jeszcze w sierpniu widokówkę przedstawiającą zdjęcie ujmujące w słonecznej aurze Mnichowy Stawek, a w oddali grań ciągnącą się od Rysów ku północy z wyraźnie rysującym się wierzchołkiem – celem owej wycieczki. Odebrałem to jako zachętę do odbycia kolejnego, planowanego zresztą wcześniej, górskiego wyjścia. Na stronie *verso* karty znalazły się zapisane charakterystycznym drobnym, ale wyraźnym pismem Marii Chałubińskiej m.in. takie słowa:

My również ogromnie mile wspominamy naszą wspólną eskapadę, która Pan tak umilił niesłychanie interesującymi opowiadaniem. Żałuję tylko, że nie dokończył Pan swego wykładu o malarstwie. Wkrótce po naszym rozstaniu byłam sama na Żabim Mnichu i Żabim Wyżnim, a potem z mężem na grani Giewontu. Teraz wciąż leje i leje codziennie [...]. Cieszymy się na spotkanie i wspólną wycieczkę [...].
M. S. Chałubiński.

7.

Nadzieje ziściły się w sierpniu roku następnego – a więc 1987 – i, jak wcześniej planowano, celem był Mięguszowiecki Szczyt. Znów trzeba

było śledzić meteorologiczne wróżby, by zdecydować się na konkretny dzień, który owego dość kapryśnego pogodowo lata wydawać się będzie najbardziej sprzyjający odbyciu ambitnej i długiej tury – miejscami dość trudnej, a w całości wymagającej sporego wysiłku i niełatwej orientacji w terenie. Wyjazd z ulicy Chałubińskiego nastąpił 20 sierpnia o bardzo ранней porze, wcześniejszej niż w roku poprzednim, bo spotkanie wyznaczaliśmy na godzinę czwartą. Tym razem wyruszyliśmy z uśpionego jeszcze i cichego Zakopanego we czwórkę – towarzyszyła nam kuzynka Marii i Stefana Chałubińskich, niespełna 20-latka, przebywająca u nich na wakacjach, która pokazała się jako wytrwała tatrzańska turystka (o czym oni z pewnością już wiedzieli, decydując się na wspólną eskapadę).

Wszyscy w stosownym obuwiu i z niewielkimi plecakami wyruszyliśmy, jak w roku ubiegłym, samochodem na Palenicę Białczańską, by po pozostawieniu pojazdu na parkingu ruszyć „na nogach” ku Morskiemu Oku. Maria Chałubińska założyła swą często bywałą na górskich wyrypach „horolezkę” (plecaczek ten, zakupywany na Słowacji, był marzeniem wszystkich początkujących taterników i ambitnych turystów), do której były przytroczone dwa kijki narciarskie (tak, te tradycyjne, bo służące do marszu, składane, dostępne jedynie za granicą, były u nas wtedy trudno osiągalne, nie mówiąc już o ich wysokim koszcie). Musiała używać kijków do podchodzenia ze względu na przebyte operacje (*sic!*) wymiany stawów biodrowych. Niełatwe mimo wszystko i obciążające dla nóg podejścia na znacznych odcinkach drogi na Mięguszowiecki Szczyt takiej pomocy wymagały (choć w trudniejszych miejscach przytroczone do „horolezki” pełnej długości kijki mogły stanowić i przeszkodę).

8.

Droga do Czarnego Stawu pod Rysami przebiegła niemal niezauważenie w promieniach już bardziej zdecydowanie wychylającego się zza granicy słońca. Poważniejsze odcinki szlaku były dopiero przed nami. Ruszyliśmy od krzyża w górę. Od czasu do czasu wypatrywaliśmy miejsc na ścianach okalających Bańdzioch, skąd dochodziły rytmiczne uderzenia

taternickiego młotka. Wijąca się ścieżka wiodła wśród kosówek, a potem przez ogromne wanty, upłazki i rynny na Kazalnicę. Na tym odcinku ponownie ujawniła się skuteczność marszu Stefana Chałubińskiego, który swym niespiesznym, „pająkowatym” chodem, bezbłędnie wyczuwającym najwłaściwsze do stąpienia miejsca na skalistej perci i zharmonizowanym z absolutnie niezawodnymi chwytami dłoni na skałach, wytrwale zdobywał kolejne metry wysokości.

Niebawem dotarliśmy do owej charakterystycznej galerijki i wnet stanęliśmy na Mięguszowieckiej Przełęczy pod Chłopkiem. Stąd rzut oka na południe, ku Hińczowemu Stawowi, mieniaćemu się swym „pawim okiem” w dole, ale też na nadciągające od niego chmurne tumany, pędzone wiatrem, niczym kłębiaste barany przez nierozważnego juhasa, ku piarżyskom, ogarniające już swą szarą masą i dalsze szczyty. Nie była to dobra dla pogody wróżba. Na szczęście idące górą podmuchy skutecznie rozdzielały i nieco rozwiewały mgły, ale że mimo to zbliżały się do nas, nabieraliśmy obawy, że z rozległymi widokami może być tego dnia różnie. Ruszyliśmy z boczem Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego ku Drodze po Głazach. Gdy mgły nieco się rozrzedziły, Maria Chałubińska oznajmiła: „Stefanku, wy będziecie sobie powoli szli, ja skoczę na Pośredni”. Na to Stefan Chałubiński: „Marysienko, proszę cię na wszystko, nie rób tego”. Na to ona: „Ależ Stefanku, to przecież tuż-tuż, ani się spostrzeżesz, jak będę z powrotem i was dogonię”. A on: „Marysienko, zakazuję ci tego, nie możesz nas zostawić samych”. To poskutkowało.

Po niedługim czasie, już na Drodze po Głazach, pojawił się problem „techniczny” – konieczność trawersu przez stromy, wypełniony osypującym się piargiem żleb. Przekraczaliśmy go w ustalonej przedtem kolejności naszego marszu – jako pierwszy Stefan Chałubiński, następnie nasza młoda towarzyszka, za nią Maria Chałubińska, ja na końcu. Widok w dół nie napawał optymizmem, miejsce było „styrbne”, drobny piarg usuwał się spod butów; w miarę pewną pozycją do przebycia żlebu było ustawienie się tyłem do stoku i przesuwanie się w taki sposób, by trzymać się „na tarcie” na najbliższych wystęпах skalnych. Gdy moi poprzednicy byli już po drugiej, bezpiecznej stronie, a ja nadal mozolnie wyszukiwałem miejsca do wykonania odpowiedniego (który w tym miejscu mógł być w zasadzie jedynym właściwym) kroku, obserwujący

moje zmagania Stefan Chałubiński, niby od niechcienia, w momencie, gdy znajdowałem się w najbardziej przykrym miejscu, zapytał żony: „Marysieńko, czy to właśnie tutaj zabił się Westwalewicz¹?”. Myślę, że doświadczony przewodnik tatrzański wiedział, że przypomnienie tego smutnego faktu wzbudzi we mnie niespożytą wolę uniknięcia losu przywołanego taternika i ułatwi mi przekroczenie żlebu – gdy byliśmy już razem, przekonał się, że wybrał dobry sposób.

Po chwili mgła zgęstniała i przysłoniła szersze widoki, niemniej nie była przeszkodą we właściwej orientacji w zagmatwanym i niekiedy mylnie przez błędzących wykopczykowanym terenie. Dobrze wybrany przez prowadzącego szlak prowadził bystro w górę, by przez skalne stopnie, lawirujące wśród płyt i ścianek, wydostać się na charakterystyczną półkę pod przewieszoną skałą, nieco poniżej wierzchołka Wielkiego Mięgusza. Półka ta, po wyjściu spod tego okapu, zwężając się (na szerokość mniejszą niż długość podeszwy buta), prowadziła przez kilka metrów lekkim łukiem w nienapawającej zachwytem ekspozycji. Jedynym sposobem zapewnienia sobie iluzorycznego bezpieczeństwa było przywarcie przodem, znów „na tarcie”, do skały – pięta miała pod sobą powietrze, a plecak, choć niewielki, zadania nie ułatwiał. Gdy moi towarzysze przebyli już ten niemiły odcinek drogi, a ja byłem jeszcze w jego połowie, nasz przewodnik oznajmił: „Boję się o pana...”, co znów skutecznie oddaliło moje zapewne widoczne wahania i niepewność. Po chwili znaleźliśmy się w dolnej części niewielkiego, niemniej na tyle wysokiego kominka, że przebycie go przez młodą towarzyszkę wymagało pomocy Stefana Chałubińskiego – ukucnął on, opierając się plecami o skałę, a dziewczyna za jego wskazaniem stanęła mu na ramionach i w ten sposób łatwiej pokonała przeszkodę. Stąd już tylko w kilka chwil pozioma grań zaprowadziła nas na główny wierzchołek. A dotarcie na szczyt dla Stefana Chałubińskiego miało także wymiar osobisty, bo przecież to jego ojciec, Ludwik Chałubiński, wyszedł nań

¹ Tadeusz Westwalewicz spadł z opisanego miejsca do Doliny Hińczowej i zginął na miejscu. To tragiczne zdarzenie miało miejsce w sierpniu 1954 r. podczas odwrotu z akcji ratunkowej zorganizowanej dla rannego taternika Adama Milówki (który wskutek odniesionych obrażeń zmarł podczas transportu). Wypadek Milówki wydarzył się podczas przejścia przez grupę taterników grani wiodącej na Mięguszowiecki Szczyt od strony Przełęczy pod Chłopkiem.

jako pierwszy w towarzystwie przewodników Wojciecha Roja i Macieja Sieczki przed ponad stuleciem – 28 czerwca 1877 r.

Poniesiony wysiłek dotarcia na szczyt wynagrodziły niebios – kurtyna mgieł znacznie się rozstąpiła i choć pozostawały one w ciągłym kłębiącym się ruchu, odsłaniały na dłuższe chwile błyszczące w dole tafle, to Morskiego Oka, to Czarnego Stawu pod Rysami czy Wielkiego Stawu Hińczowego, wraz z ich skalnym otoczeniem, nadającym dookołnemu światu niezwyklej, przy tej zmienności obrazów, wyrazistej sytuacyjnej dramaturgii. Odpoczynek i lekki posiłek na szczycie Mięgu-sza połączony z kontemplacją odsłaniających się widoków w efektownej zmienności powietrznych zjawisk nieoczekiwanie nieco się przedłużyły. Maria Chałubińska, gdy siedziała na głazie, odczuła nieoczekiwanie silne drętwienie i kurcz mięśni nogi uniemożliwiający powstanie. Była na szczęście na to przygotowana – rozpuszczona w szklaneczce wody porcja potasu skutecznie usunęła tę dolegliwość, która w pierwszej chwili, tym bardziej że przed trudnym – mimo wszystko – zejściem ze szczytu, bardzo nas zafrasowała.

9.

Wybraliśmy zejście na Hińczową Przełęcz – znaczone interesującym lawirowaniem po stopniach, ściankach i półkach, wśród których każdy wybierał dość swobodnie odpowiadający mu wariant, niemniej z zachowaniem kierunku wyznaczonego przez Stefana Chałubińskiego. Gdy się na niej znaleźliśmy, Maria Chałubińska ponownie wyjawiała chęć szybkiego samotnego odwiedzenia bliskiej stamtąd Cubryny: „Stefanku, to stąd chwilka, dawno na Cubrynie nie byłam”. I usłyszeliśmy znaną już w takich sytuacjach reakcję Stefana: „Marysieńko, to szaleństwo, nie rób tego”. W odpowiedzi usłyszał: „Stefanku, naprawdę nie obawiaj się, przecież niejednokrotnie sama tam się wybierałam”. I, jak poprzednio, stwierdzenie męża poskutkowało: „Marysieńko, zakazuję Ci tego. Tym bardziej że już późne popołudnie, a droga nasza jeszcze daleka”.

Opuszczenie Hińczowej Przełęczy, mimo ostrożnego schodzenia zlebem pomiędzy jego skrajem a wypełniającym dno stwardniałym

śniegiem, przebiegło sprawnie. Dalszy szlak także, wiodący rumowiskami na taras Wielkiej Galerii Cubryńskiej, dalej – Małej Galerii Cubryńskiej i wreszcie Zadniej, będącej już najwyższym piętrzem Doliny za Mnichem. Tu trzeba dodać, że była to także droga Ludwika Chałubińskiego, co naszej eskapadzie w towarzystwie jego syna jako przewodnika przydawało niepowtarzalnego klimatu.

Zejsście Żlebem pod Mnichem ku dnu Doliny za Mnichem i leżącemu tam Stawowi Staszica, choć wiodące w pierw po blokach skalnych i piargach, a niżej już tylko po przetykających je trawkach, nie nastręczało trudności. Niemniej okazywało się coraz bardziej powolne, a to z powodu wady wzroku Stefana Chałubińskiego (tzw. kurzej ślepoty), objawiającej się wraz z osłabianiem światła dziennego w przedwieczornych godzinach. Nasz przewodnik z coraz większym trudem odnajdywał dobre oparcie dla nóg, chód jego wobec tego zwalniał i stawał się niepewny. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nadchodzący już i z każdą minutą gęstniejący zmierzch jeszcze bardziej utrudni marsz. Dotarliśmy jednakże do Stawu Staszica i po coraz wolniejszym schodzeniu z progu Doliny za Mnichem znaleźliśmy się na „wygodnej” już ścieżce – „ceprostradzie” wiodącej ze Szpiglasowej Przełęczy ku Morskiemu Oku.

Tu pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda w dalszym marszu ku brzegowi stawu. Nadeszła godzina 21.00. Wieczorny mrok zamienił się w prawie ciemność, a w niej wzrok Stefana Chałubińskiego całkowicie odmówił posłuszeństwa. Sytuację mogła poprawić choćby częściowo latarka elektryczna, jednak okazało się, że nikt z nas jej nie posiadał – bo też i nie przewidywaliśmy powrotu o późniejszej godzinie. Jedyne, co pozostało do zrobienia, to szybki marsz kogoś z nas do schroniska i powrót z pożyczoną latarką. Z nadzieją, że ten plan się uda, wyruszyłem w dół szybkim krokiem i mimo godziny 22.00 spotkałem w schroniskowej kuchni sympatycznego pracownika, który po przedstawieniu mu sytuacji nie tylko chętnie użyczył światła, ale również sam wybrał się ze mną do pozostawionej na szlaku trzyosobowej grupki. Po jako tako oświetlonej ścieżce i wsparciu nieoczekiwanego towarzysza zeszliśmy nad brzeg stawu. Ale to nie rozwiązywało do końca problemu powrotu, dzieląca nas bowiem odległość od pozostawionego na parkingu na Palenicy Białczańskiej samochodu wynosiła

przecież ok. 10 km. Na szczęście przy schronisku znajdował się niewielki terenowy samochód służbowy TPN-u – nie pomieściłby jako pasażerów czterech osób, ale mnie jednego zwiózł do parkingu, skąd już własnym samochodem podjechałem z powrotem pod schronisko nad Morskim Okiem, by zabrać pozostałych uczestników wyprawy. Zbliżała się północ, gdy w komplecie ruszyliśmy ku Łysej Polanie. By powrót nie był pozbawiony dalszych nieoczekiwanych zdarzeń, zatrzymał nas w rejonie Palenicy patrol dwóch młodych wopistów. Przede wszystkim z pytaniem, dlaczego poruszamy się po drodze zamkniętej dla ruchu osobowego i czy mamy na to pozwolenie, ale też dla kontroli podróżujących tam o tak późnej godzinie. W tym celu jeden z żołnierzy poprosił o nasze dokumenty tożsamości, które podaliśmy przez uchylone okienko. Wtedy starszy szarżą rozkazał młodszemu zapisać nazwiska – gdy odczytał z dowodu osobistego nazwiska, ów zapytał: „Przez jakie «ha»?”. Na to wszyscy wybuchliśmy gromkim śmiechem, niemniej nie uściśliliśmy, jak należy je zapisać. Zapewne skonfundowany naszą reakcją wopista, który bez wątpienia uznał ją za słuszną dezaprobatę wobec swego wyrażającego niewiedzę zapytania, zdecydował, że nie należy się dopytywać, i dokonał zapisu według swego uznania. Do dziś zastanawiam się, jakie „ha” zostało ostatecznie użyte w nazwiskach moich przewodników – być może w archiwaliach WOP-u z tamtych czasów można by ten dokument jeszcze odnaleźć. Jak się niedługo potem okazało, spotkanie z wopistami miało również dobre strony.

Przy pomniku Sabały w Zakopanem stanęliśmy grubo po północy, pełni wrażeń z odbycia ambitnej eskapady i pomyślnego jej zakończenia wobec nieoczekiwanych przeciwności. Rozstaliśmy się z chęcią zaplanowania kolejnego wspólnego wyjścia w Tatry, ale już w roku następnym. W swojej kwaterze przy Drodze do Olczy zjawiłem się niebawem – moja żona, przez długi czas zaniepokojona przeciągającym się naszym powrotem, telefonowała do GOPR-u z pytaniem, czy aby nie otrzymali sygnału o jakimś niepomyślnym zdarzeniu w rejonie Morskiego Oka (ujawniając jednocześnie odbycie naszej „nieprawomyślnej”, bo poza szlakiem turystycznym, wycieczki). Uspokoila się dzięki otrzymanej wiadomości, że właśnie niedawno patrol WOP-u kontrolował nas podczas bezpiecznego powrotu.

10.

Nadzieja na wymarsz ku tatrzańskim szczytom w roku 1989, choć słaba, ostatecznie się załamała. Potwierdziła to karta z 10 grudnia, którą otrzymałem od Marii Chałubińskiej:

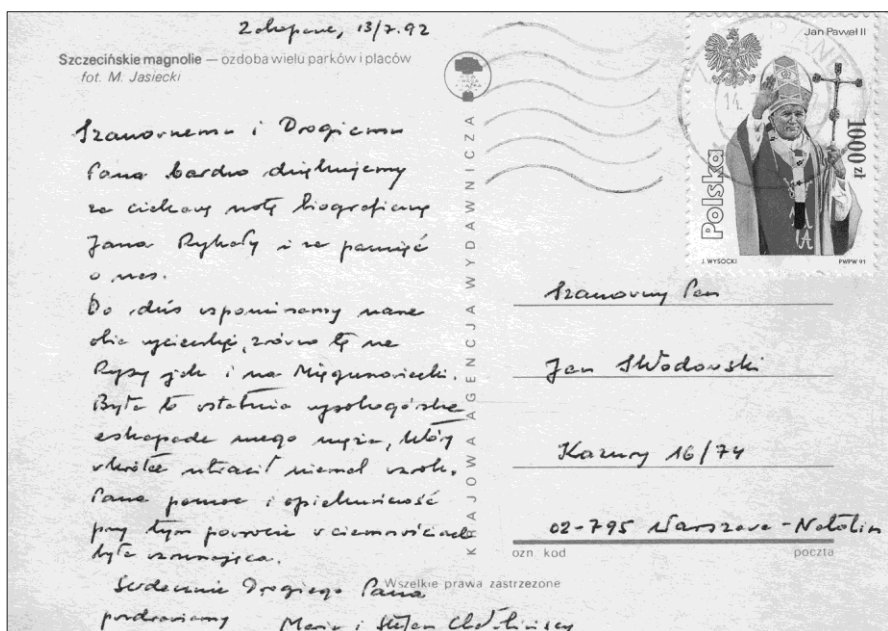
Niestety zmuszeni jesteśmy pomału rezygnować z gór. Stefana wzrok gaśnie, już nic czytać nie może. Chodzi jeszcze na Giewont i Czerwone Wierchy, lecz tylko instynktownie wyczuwa kamienie, bo drogi nie widzi. Zawsze drzę o niego, lękając się mgły lub załamania pogody, a towarzyszyć mu już nie jestem w stanie, niestety...

Kolejny rok, 1990, przyniósł niezbyt dobre wieści z Zakopanego, bowiem w liście z 15 listopada (w odpowiedzi na mój adresowany do ich obojga z tekstem artykułu o tatrzańskich drzeworytach) Maria Chałubińska dzieliła się swym strapieniem:

Mój mąż, Stefan, jest prawie niewidomy, nic dziwnego więc, że nie mógł sam Panu odpisać. Chciał zresztą uprzednio poznać treść Pana artykułu [na temat drzeworytów o tatrzańskiej tematyce – J.S.] [...]. Stefan chciał sam podyktować dziękczynno-przepraszający list, ale wiem, że prędko do tego nie dojdzie, i dlatego go wyręczam. Po pierwsze tkwi po uszy w „zielonej, ekologicznej ofensywie”, biega na różne zebrania, dyskutuje i walczy razem z Wojtkiem Niedziałkiem o sprawy, które w naszej rzeczywistości wydają się być pozycją całkowicie straconą. Po wtóre Stefan jest człowiekiem, który nie znosi pisania listów, rozważa dobrze każde słowo i dlatego pochłania to mnóstwo czasu i energii. [...] Proszę więc łaskawie usprawiedliwić jego milczenie i zadowolić się moim zastępstwem. Zarówno wycieczkę na Niżnie Rysy, jak i na Mięguszowiecki zachowujemy w bardzo miłej i wdzięcznej pamięci. Szczególnie wzruszającą była Pana pomoc i czynność przy przejściu ostatniego odcinka w ciemności. Gdyby nie Pana samochód i bezcenna latarka zmobilizowanego przez Pana pracownika schroniska (który nas dotąd odwiedza) – musielibyśmy biwakować na ścieżce.

11.

Moje rzadsze w kolejnych latach bytności w Zakopanem nie były przeszkodą w prowadzonej korespondencji, do której dołączałem co jakiś czas swoje publikacje na temat malarzy Tatr. Na jedną z moich przesyłek otrzymałem 13 lipca 1992 r. od Marii Chałubińskiej odpowiedź:



Karta od Marii i Stefana Chałubińskich z 13.07.1992 r.
adresowana do autora (zbiory Jana Skłodowskiego)

Szanownemu i Drogiemu Panu bardzo dziękujemy za ciekawą notę biograficzną Jana Rykały² i za pamięć o nas. Do dziś wspominamy nasze obie wycieczki, zarówno tę na Rysy [Niżnie – J.S.], jak i na Mięszowiecki. Była to ostatnia wysokogórska eskapada mojego męża, który wkrótce utracił niemal wzrok. Pana pomoc i opiekuńczość przy tym powrocie w ciemnościach była wzruszająca.

Tak miłe słowa ze strony Marii Chałubińskiej wzruszają mnie do dziś.

12.

Z Marią i Stefanem Chałubińskimi spotkałem się jednak jeszcze tego roku. Było to w dniach 12–13 września, gdy Muzeum Tatrzańskie organizowało obchody 90-lecia wydania pamiętnego wyroku sądu rozjemczego w Grazu (z 13 września 1902) przyznającego Morskie Oko Galicji, więc faktycznie stronie polskiej. Pamiętam, jak żarliwie wypo-

² Nota biograficzna Jana Rykały została zamieszczona w *Słowniku artystów polskich* (t. 9, Warszawa 2013).

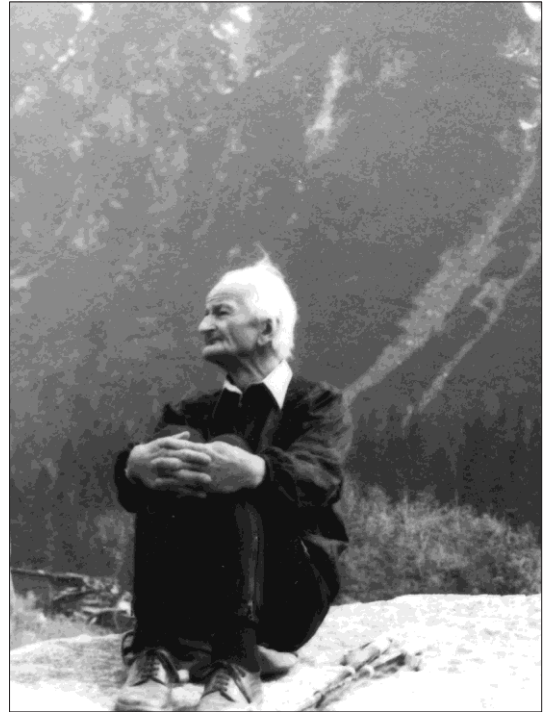
wiadał się w tej kwestii Stefan Chałubiński podczas sesji na Kozińcu (prelegentami byli także m.in. prof. Jacek Kolbuszewski, Witold H. Paryski i dr Henryk Jost); mam też dotąd w oczach jego charakterystyczną postać, gdy zasiadł na wyniosłej wancie przy ścieżce nad Morskim Okiem podczas zorganizowanej tam sesji terenowej. Jej liczni, zebrani poniżej głazu uczestnicy słuchali okolicznościowych wystąpień historyków tego tematu i zasłużonych taterników. Wśród nich znajdowali się m.in.: Wojciech Gąsienica Byrcyn (dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego), Wiesław Wójcik (redaktor naczelny rocznika „Wierchy”), prof. Jacek Kolbuszewski, prof. Ryszard Schramm. Sceneria miejsca owego spotkania nie mogła być lepsza dla uświetnienia rocznicy tego epokowego wydarzenia.



Sesja terenowa nad Morskim Okiem
w 90. rocznicę wyroku sądu w Grażu, 13.09.1992 r. (fot. Jan Skłodowski)



Stefan Chałubiński, w tle Mních,
13.09.1992 r. (fot. Jan Skłodowski)



Stefan Chałubiński nad Morskim Okiem,
13.09.1992 r. (fot. Jan Skłodowski)



Uczestnicy rocznicowej sesji terenowej nad Morskim Okiem (od prawej:
drugi Wojciech Gąsienica Byrcyn, trzeci Jan Skłodowski, piąty Wiesław A.
Wójcik, ósmy Ryszard W. Schramm, 13.09.1992 r. (fot. autor nieznany)

13.

W roku następnym, 1993, planowałem spotkać się z Marią i Stefanem Chałubińskimi 13 marca w willi na Kozińcu, gdzie Muzeum Tatrzańskie zorganizowało mój wieczór autorski po wydaniu przez Sport i Turystykę dwóch albumików: *Zakopane i Tatry na starych pocztówkach* oraz *Tatry i Podhale w drzeworycie*. Na spotkanie to oboje zaproszeni Państwo nie mogli w ostatniej chwili przybyć, ale następnego dnia, gdy opuszczałem Zakopane i kierowałem się ku dworcowi autobusowemu, zauważyłem na ul. Zamoyskiego charakterystyczną postać z radosnym, barwnym balonikiem przy horolezce maszerującą w tym samym co ja kierunku. Po przywitaniu się nie z kim innym jak z Marią Chałubińską ruszyliśmy dalej razem. Droga do Krakowa minęła niepostrzeżenie, wypełniona rozmową o Tatrach i przypomnieniem wspólnych po nich wędrówek. Już w Krakowie mojej Towarzyszce podróży wręczyłem z dedykacją dla obojga prezentowane poprzedniego dnia, a już znacznie wcześniej obiecane książeczki. Po niespełna miesiącu otrzymałem kartę opatrzoną datą 1 kwietnia ze zdjęciem kwitnącej jabłoni i życzeniami wielkanocnymi: „Równocześnie raz jeszcze dziękujemy za prześliczne i tak cenne albumy z przemiłą dedykacją. Ucieszyłam się spotkaniem, niestety zbyt krótkim, ale liczę na to, że Pana kiedyś u nas ujrzymy i dłużej porozmawiamy”.

14.

Nie było mi dane odwiedzenie Zakopanego latem tego roku. W zrealizowanych planach wyjazdowych, nie tylko moich, pojawiły się inne góry. W karcie z dnia 21 grudnia, w odpowiedzi na moje pozdrowienie wysłane z Alp, Maria Chałubińska pisze:

Dziękujemy za kartkę z St. Moritz. Tak się złożyło, że byłam tam tej jesieni z moją córką, która miała wykład na Międzynarodowej Konferencji Ginekologicznej. Uważam, że Engadin jest prześliczny, szczególnie przy złotych modrzewiach. Nadal cieszą nas książki od Drogiego Pana i podczas Świąt zamierzam je oglądać. Specjalnie miła jest nam serdeczna dedykacja. Życzymy, aby Święta upłynęły zdrowo i miło w Bożym Błogosławieństwie. A Nowy Rok oby był pomyślniejszy, niż się na to zanosi!

Była to ostatnia, kreślona drobnym, ale ciągle wyraźnym pismem, wiadomość otrzymana od Marii Chałubińskiej. Obawa o pomyślny bieg zdarzeń w roku 1994 okazała się niestety prorocza...

15.

Letnie sierpniowe tygodnie spędzaliśmy w Zakopanem, było więc oczywiste, że 15 sierpnia odwiedziliśmy w dniu imienin Marię Chałubińską. Popołudnie było pogodne i ciepłe tchnieniem od Tatr, przybywający z życzeniami goście zajmowali miejsca na ławkach przy małym drewnianym, wtopionym w bujną zieleń domku. Rozmowa z Gospodynią i przybyłą przewodniczką i GOPR-owską bracią (był tam wtedy, pamiętam, „Włodek” Cywiński) przy wyśmienitej szarlotce – tradycyjnym dziele Solenizantki – biegła swobodnie i beztrudnie. Nikt nie przypuszczał, że było to ostatnie Jej imieninowe oraz nasze z Nią spotkanie...

16.

Z początkiem września powróciłem do Warszawy, dokąd po kilku tygodniach dotarła tragiczna wiadomość – Maria Chałubińska skończyła życie w Tatrach. Stało się to podczas samotnej wycieczki na ścieżce wiodącej od Ciemnosmreczyńskiego Stawu Wyżnego ku *nomen est omen*... Wrotom Chałubińskiego, noszącym nazwisko, które kilkadziesiąt lat wcześniej zatrzymało Ją na całe życie pod Tatrami i z nimi na zawsze związało.

17.

W 2002 r. odszedł do Wieczności Stefan Chałubiński – jeszcze bardziej ubył Zakopanego. Opustoszał mały drewniany domek przy ulicy Zamoyskiego 33. Pozostało już tylko wspomnienie Ludzi Niezwykłych, Skromnych i Dobrych szlachetnością płynącego z głębi duszy humanizmu. Tatry zapamiętały Ich na zawsze, my starajmy się Ich nie zapomnieć. *Non omnis moriar*, zgodnie z Ich życiowym credo.